

XXIX

Ogólnopolski

Konkurs

Literacki

im. Marka Hłaski

Chorzów 2021



\*\*\*

Temat pandemii nie zdominował wprost tekstów poetyckich i prozatorskich nadesłanych na XXIX edycję Ogólnopolskiego Konkursu im. Marka Hłaski, jednak wszyscy wiemy, jak to był trudny i dziwny czas. Wiemy też, że być może dzięki pisaniu (i czytaniu) – część z nas przetrwała.

Spotkaliśmy się na e-obradach, ale wszystko było rzeczywiste – w tym nasze odkrycia i rozczerowania, wątpliwości i spory. Rozmawialiśmy o warsztacie i emocjach, erudycyjnych popisach i ascetycznych wyznaniach, tekstach „konkursowych” i tych, które potrzebują jeszcze czasu i pracy, ale są zapowiedzią wyjątkowych historii.

W tym roku pojawiło się dużo prac zredagowanych, po korekcie, warsztatowo poprawnych, jednak szukaliśmy przede wszystkim bohaterów, którym chcieliśmy zaufać – nawet, gdyby kluczowa w ich przypadku była konfabulacja i niespójność. W poezji brakowało z kolei zestawów, które przekonywałyby w całości. Rozmawialiśmy więc niekiedy o pojedynczych utworach i gdyby to był turniej jednego wiersza – laureatów i wyróżnionych byłoby znacznie więcej.

Charles Bukowski w jednym z listów wspomniał:

„Stale mam to wrażenie, że jestem początkującym pisarzem. [...] To wspaniałe szaleństwo. Myślę, że zbyt wielu pisarzy biorących od jakiegoś czasu udział w tej grze popada w zbyt utarty schemat, przejawia zbytnią ostrożność. Boją się popełniać błędy. Rzucasz kośćmi i czasami wypadną dwie jedynki. Ja lubię luz i dzikość”<sup>1</sup>.

Gratulujemy jeszcze raz wszystkim osobom, które wzięły udział w konkursie, początkującym pisarzom i doświadczonym autorom, twórcom tzw. dobrze zapowiadającym się i tym, którzy piszą mimo wszystko.

Nie zapomnijmy o tym „wspaniałym szaleństwie” – doświadczanym w pisaniu.  
Jest nasze.

W imieniu jury,  
Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak

**XXIX Edycja  
Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego  
im. Marka Hłaski**

**Nagrodzone prace**

POEZJA

---

## I MIEJSCE

Agata Miszczak

godło: ambre

## ARANŻACJA

w lustrze widzę  
zupełnie inne mieszkanie

ty jesteś przystojny  
ja nie boję się ciąży

więcej światła  
wpada od południa

sąsiad zamyka zakład i nikt  
go nie dziedziczy

rodzice są zdrowi

siostra przyjaciela wraca do domu

zostawia tego gościa  
od hazardu

nie bierze chwilówek na matkę

---

## **BOLLYWOOD**

bransolety dzwonią na  
jej wychudłych nadgarstkach

pisze wiersze dla męża  
którym poniewiera

jej miłość jest świeża i okrutna

jak jabłko na szosie  
niechciana noc poślubna

dzieci dorosłe po drugiej stronie globu

jak rana  
pokazowa

---

## **POGODA NA KRAKATAU**

słyszałam z daleka

włóż ciepłe buty  
czapkę

kocham tylko gdy  
pada w tym domu z  
błota

matka zimna i twarda  
jak skała  
magmowa

jutro przewiduję  
ochłodzenie

i smutek

idący falami

---

## II MIEJSCE

Danuta Hein

godło: Buńczuczna\_filizanka

### **życie przed śmiercią**

młodość nigdy nie zostawia nas samych  
na pierwszy rzut oka widać więc, że jestem stara

siedzę na kanapie, gapię się w telefon, dania sycylijskie z Instagrama wkurwiają dzisiaj jakoś  
bardziej,  
za oknem szczeka pies, słyszę windę, córka miała dzwonić, widocznie coś jej wypadło

mam jedną pierś, spuchnięty brzuch, wąski szlak między bliznami  
nie mam jednej piersi, włosów, łagodnej akceptacji, stosunków seksualnych

chciałam jeszcze wydać książkę, spowodować trzęsienie ziemi, wzbudzić  
zachwyt ale jutro i pojutrze nic się nie zmieni

choć się zmieni się wszystko  
znowu winda  
i pies  
zrobię sobie chińską zupkę, myślałam,  
że w życiu będzie ładnie  
podwójnie pieluchuję wolę, inaczej  
sra, jak popadnie



---

## VIII.1919

w kadry tych miast wpisana jest tęsknota, czarna gotowość na  
niepowroty tu ziemia zabiera tyle, ile daje  
szkicuje pyłem portrety i losy  
nie rozumieliśmy naszych dziadków  
*mówili, nie ruszając ustami*

banalnie ruszali do boju, przyszłe babcie paliły im świeczki  
*nie może się nie udać*  
*oczywiście, że się nie uda*  
wracali albo nie  
niektórym broń przyrosła do palców, nie rozumieliśmy  
naszych dziadków  
za krótkich całunów, trawiących kwasów chwały

zostały po nich wydłużone cienie drzew  
serca babek, omszałe od północy, wola kamienna, jak węgiel  
co nigdy nie wróci  
diamentem

---

## **Przeżył tylko chłopiec z rękami w górze**

Mama rankiem czesała włosy swojego Hansa,  
wierząc w dwa źródła mocy: Boga i brylantyny.  
Po śniadaniu, struktury układała w pasjansa, potem gulasz z  
kompotem i współkrzyk doksepiny.

Kilkanaście miast dalej, Lippe  
zatrul się czasem,  
wypluł światło i rzucił dar kolorów dla sepii,  
nie chciał nawet czulentu, głaskanego szabasem, był jak glina –  
im głupsza, tym wygodniej się lepi.

Szara peruka żony, zamiast kuszących loków, wiązki win  
i dowodów,  
w niedokończeniu ciała,  
Lippe skusił się niebem, przygotował do skoku, w sztywnych helisach pejsów, szin wiązała  
kabała.

Każdy posag niewoli, nędzne dostraja treści,  
Lippe  
będzie miał z Hansem sporo do przegadania,

szeptem zdobyty bezwład, świt przepadły bez wieści. Znów uśniemy.  
Jak kamień. Nim ściagniemy ubrania.

---

### III MIEJSCE

Klaudia Mazur

godło: Niebieska

## Lubił mówić o fizyce

Lubił mówić o fizyce,  
o szachach i pszczołach,  
o wychowaniu,  
uprawie pola,  
hodowli królików.

Miał sposoby  
na młodzieńcze popalanie papierosów  
i na opornych słuchaczy.

Kazał ciotce siadać  
w aucie po przekątną,  
żeby resory mniej się zużywały.

Naprawdę dużo mówił,  
szukał resztek zainteresowania  
na dnie naszych oczu.

Z biegiem lat wycofywał się  
coraz bardziej,  
w nieznany sobie wcześniej  
świat milczenia,  
uśmiechał się tylko,  
chcąc pozostać obecnym.

Był jak ostatnia pszczoła  
w zimowym ogrodzie,  
całkiem nie na miejscu.

Niedawno jeden z młodych  
jechał koło domu  
wujka. Zgasił silnik,  
by podziwiać, jak  
pięknie  
suche gałęzie  
bluszczu  
opłatają ściany.

---

## Spuścizna

Kiedy w 43' Niemcy już wychodzili  
z domu moich pradziadków,  
z pustymi rękami,  
bo się syn ich - partyzant,  
wcale nie dał znaleźć,  
prababka wyszła jeszcze za nimi  
na próg domu.

Po co?  
Można przypuszczać;  
chciała dopilnować,  
że na pewno odjadą,  
przyklepać, zastukać  
niepostrzeżenie knykiem  
w splekaną framugę,  
albo splunąć,  
czar odczytać,  
może był w niej triumf,  
może niedowierzanie,  
że i tym razem  
wszyscy się zostaną.

Jeden z nich się obejrzał,  
niby od niechcienia,  
pewnie gest jej przyłapał,  
niepotrzebnie prędko -  
gest strachu lub zwyczajstwa,  
drobny gest kobiecy.

Wystrzelił też od niechcienia.  
Pradziadek nie wiedział,  
czy krzyczeć, czy  
dzieciom najpierw  
pozasłaniać oczy.

---

Taka to moja  
spuścizna, też  
zawsze  
wychodzę  
niepotrzebnie,  
wyglądam,  
upewniam się,  
patrzę.  
Kiedy los  
czarne plecy na  
progu odwraca.

Śnieg tego roku  
znowu skrzypi  
nad czeluścią.

---

## Dwie blizny

Noszę dwie blizny,  
mało to czy dużo?  
Inni pewnie noszą więcej  
albo się pozbyli.  
Bo da się bliznę wywabić,  
niemal do białości.

Jedną noszę ukrytą,  
rzekłabym intymną.  
Jest częścią opowieści  
o stworzeniu świata.  
Bóg rozciął moją skórę,  
gdy spałam  
i stwierdził, że to jest dobre.  
Idźcie i się mnożcie.

Ta blizna jest ładna,  
dbam o nią jak o kota.

Drugą noszę na ręku,  
to blizna – prostaczka,  
powstała od oparzenia  
blachą, choć wygląda,

jakby mnie tygrys pacnął  
przy zabawie w „masz go”.

Ale to jednak blacha,  
nie tygrys.

Złośliwie tej blizny  
niczym nie smaruję,  
nie pomagam jej zniknąć,  
noszę ją uparcie.  
Jakbym się  
bała, że bez  
niej będę tylko

---

postać z  
Biblii, której  
tygrysy wcale  
nie przyjdą do  
głowy.

---

PROZA



---

## I MIEJSCE

Daniel Tamkun

godło: Siostra Irena

### „Bunt”

M

Myję twarz i psikam się dezodorantem, żeby nie śmierdzieć papierosami. Przebieram się w robocze. Materiał jest nieprzyjemny w dotyku i pachnie krochmalem, ale jest czysty. Nowa pracownica przechodzi przez szatnię. Witam ją trochę zbyt niedbale, poprawiam się bardziej serdecznie i pomagam zawiązać apaszkę. Nikt nowy nie potrafi zrobić tego dobrze. Pomaganie świeżakom to najlepsza część mojej pracy. Przed wyjściem na hol przeglądam się w lustrze. Jestem zadowolona z moich włosów, ale związuję odstające loki, żeby nie wyglądać zbyt frywolnie. Zanim otworzę drzwi daję sobie pół minuty na stres. Poczuć dreszcz na plecach, pot pod pachami i mdłości. Zamykam oczy. Nie ruszając się z miejsca, wiem, co czeka mnie za drzwiami. Ze dwie osoby przy kasach, jedna z mopem, zapach mydlin. W gabinecie Honoraty kręci się biała płyta CD z napisanym markerem “HOL” i nadaje tę samą garść piosenek filmowych co zawsze. O tej porze pewnie kilkoro wagarowiczów, może jacyś starsi państwo. Te same standy i plakaty co wczoraj. Otwieram drzwi.

Do sali zawsze przychodzę na kryzys. Już z korytarza słyszę smętną muzykę i wiem czego się spodziewać. Bohater dostał wciry, leży poobijany i rozbity psychicznie. Potem pojawia się przyjaciel albo kobieta i podnosi go na duchu. Wychodzę pokrzątać się, biorę worek, zmiotkę i śmietniczkę i wracam dopiero na końcówkę, kiedy część widzów już wstaje i kieruje się do wyjścia. Nie rozumiem tego. Czemu tyle osób wychodzi przed samym końcem? Znają ten film? Denerwuje mnie to bardziej niż powinno, chociaż w sumie to nie moja sprawa. Wchodzą napisy. Zapalam światło, bo automat zepsuł się jakiś czas temu. Kiedyś czekałam aż wszyscy wyjdą, ale teraz wiem, że czas mnie goni, zresztą nie chce mi się już krępować i stać jak kołek, przechadzam się między rzędami, zbieram naczynia i zmiatam popcorn z podłogi i siedzeń. Zanim ostatni widz wychodzi sala jest już gotowa na kolejny seans. Jestem z siebie zadowolona.

Moje życie to śmietnik.

Ada mówi mi, żeby sprawdziła kible. Odpowiadam jej, że teraz tam jest nowa, a ona na to, żebym tam poszła zobaczyć czy wszystko dobrze.

Zapach w łazience jest nie do wytrzymania. Pytam ją jak ma na imię.

- Zuza.

- Dobrze. Zuza, to jest żrący płyn do kibla. Lustro od niego robi się mętne i szare. Zetrzyjmy to szybko i weź ten drugi.

- Nie wiedziałam, przepraszam.

- Nie były oznaczone, to nie twoja wina.

Dziewczyna zrobiła się czerwona. Mówię jej, żeby się nie przejmowała, dokończyła

---

lustro, wzięła się za kible i koniecznie wpisała na listę jak skończy. Idę na bilety, bo robi się późno. Dzisiaj piątek, duży ruch.

Ada już stoi, dołączam do niej i mówię, że znowu ktoś nie oznaczył płynów w kanciapie. Wzrusza ramionami. Mówię jej, że jest szczupła, faktycznie jakoś chudo wygląda. Pytam, czy nie była wcześniej w ciąży. Mówi, że nie, że musiało mi się coś wydawać i zmienia temat na dzisiejsze spotkanie w gabinecie Honoraty. Mówiła o nim wczoraj i chodzi podenerwowana, więc to chyba coś ważnego. Mówię, że ona zawsze chodzi napięta. Żartujemy, że może dadzą nam podwyżkę.

To gorzki dowcip, ale nie dlatego, że dają ją rzadko, stawka przyrasta powoli, ale regularnie, nie mogę narzekać. Rozmowy z Honoratą o pieniądzach odbywają się po kryjomu i szeptem. Kiedy przy jakiejś okazji poruszam temat podwyżki, ścisza głos i nie patrzy mi w oczy. Ucina rozmowę i po jakimś czasie pod byle pretekstem woła do swojego gabinetu i niby przy okazji daje do podpisania nowy aneks do umowy. Wszystko dzieje się w pośpiechu i dopiero po wyjściu zdążę przeczytać ile wynosi moja nowa pensja. Wszystkim udziela się to samo. Nikt nie chce mówić o swoich stawkach, ale każdy wie ile zarabiają inni. Ja dostaję dziewięć, Ada dziesięć, Karolina, nasza supervisor, czternaście. Nowi dostają siedem. Czasem ich podpytuję, trochę udając, że jestem ich przełożoną, ale i tak krępują się, że to nie w porządku. Zapytałam kiedyś jedną dziewczynę ile dostaje, odpowiedziała, że nie powie, była zawzięta.

- Co ci szkodzi? - Spytałam. - Przecież nikomu nie powiem.

- To kwestia zasad.

I takie to są u nas zasady. Odeszła dość szybko, niby bystra, ale jakaś niekumata. Śmieszna była z tym swoim kijem w dupie. Ciekawe, co teraz robi.

Zamykamy wejście na salę. Chcę pójść na kibel, żeby na chwilę usiąść, ale Ada pyta, czy pójde na kasę.

- Niech pójdzie nowa. - Mówię trochę bardziej nieprzyjemnie niż chciałam.

- Jak? Przecież nie umie obsługiwać kas.

- Nikt jej nie pokazał?

- Nie.

- No, to Grzegorz.

- Już nie pracuje.

Szybko. Nawet go polubiłam, konkretny i dobrze pracował. Widać, że ogarnięty student. Tacy rzadko wytrzymują dłużej niż kilka tygodni.

- Dobra, tylko siknę.

Na lustrze są smugi. Kiedy wracam na górę upominam nową, że musi po wszystkim przetrzeć lustro suchym papierem. Staram się nie być zbyt surowa, o tej porze już pewnie dostała po dupie od innych.

Na kasie siedzi już Karolina. To ładna dziewczyna, zadbana, pasuje jej ta niebieska koszula i chustka, wyglądałaby jak rasowa stewardessa, gdyby nie to, że zawsze ma

---

minę jakby była na skraju załamania nerwowego. Zawsze wydaje mi się, że za chwilę się rozplaczę, ale zamiast tego co jakiś czas kurwi i wybucha bez powodu. Czytnik kart przy mojej kasie się zepsuł, więc co chwila proszę ją, żeby pożyczyła mi swój i za każdym razem jest to samo "kurwa" mamrotane pod nosem. Mniej się tym przejmuję niż kiedyś, to w końcu nie moja wina, Karolina już tak po prostu ma.

Swoją drogą, zazwyczaj na kasach siedzi takich dwóch chłopaczków, nie pamiętam ich imion, zawodowe przegrywy, etatowe sieroty, które jakoś lubię. W przerwach rozmawiają o tym czy oglądanie pirackich filmów jest słuszne i o historii jakichś dawnych działaczy komunistycznych. Są tu dopiero od kilku miesięcy, ale jak skończę sesję na uczelni, czuję, że posiedzą z nami dłużej.

Cisza, ludzie na salach, ostatnie seanse. Karolina mówi mi, żebym ogarnęła czytnik kart i zostawia mnie samą na kasie. Nie wiem o co jej chodzi, więc po prostu zamieniam czytniki miejscami. Nowa mopuje korytarz. Podpytuję ją jak jej mija pierwszy dzień.

- W porządku.

- Na pewno? Żadnych przygód?

Wzrusza ramionami. - Mogliby zmienić muzykę, cały dzień leci ta sama płyta.

- Niedługo się zmieni. Mamy dwie płyty, zwykłą i świąteczną, ta pochodzi jeszcze z miesiąca i wjedzie świąteczna.

Bąknęła coś pod nosem i nachyla się nad moją kasą.

- Jak to jest z tymi seansami dla nas? Bo nie do końca zrozumiałam.

- Możesz pójść za pół ceny na film z jedną osobą towarzyszącą, którą musisz wcześniej zgłosić. Taka opcja jest dostępna tylko od poniedziałku do czwartku i jeżeli seans nie jest w dniu premiery. Jeśli mimo wszystko na sali jest dużo osób to mogą ci powiedzieć, że i tak wchodzisz za pełną cenę.

- Faktycznie komuś nie dali zniżki?

- Nie wiem, ja byłam tylko raz na takim seansie, płaciłam połowę.

Coś liczy w myślach.

- Majątku na tych filmach nie oszczędzisz. - Zagajam przyjaźnie.

- Raczej nie.

- A ile teraz dostajesz?

- Nie powinnam mówić.

- Dlaczego?

Wzrusza ramionami. - Nie mówi się takich rzeczy.

- To nie jest tajemnica. Ada dostaje dyche.

- Ja siódemkę.

- To dobra stawka.

- A ty?

I ja to czuję. Nie powinnam o tym mówić. Rozglądam się, czy z korytarza nie wyjdzie Karolina albo Honorata. Poza tym frustruje mnie, że nowa dostaje siódemkę, kiedy ja tylko dwa złote więcej. Jestem tu prawie dwa lata, spokojnie mogłabym być supervisorką, ale Honorata ma to w piżdzie, najpierw wymęczy Karolinę aż ta odejdzie

---

sama, potem awansuje Adę i może za kolejne dwa lata doczłapię do tych czternastu złotych. A przez ten czas będę chodziła ubrana tak samo jak nowa i tak samo będę szorować kible i gasić światło w tej sali z rozjebanym wyłącznikiem, do którego od roku nie możemy się doprosić o elektryka.

- Trochę więcej niż ty, ale niedużo.

- To znaczy ile?

Sprzed swojego gabinetu woła nas Honorata. Robi minę, której nie lubię. Czasem kiedy nie może złożyć grafiku, bo ktoś wziął urlop, dramatyzuje jakby miała nam powiedzieć, że ma raka. Teraz zachowuje się dokładnie tak samo, chociaż prawda, że nie przypominam sobie, żeby zwoływała całą zmianę do siebie. W gabinecie jak zawsze śmietnik, tony papierów, które wysypują się zewsząd, jakby dokumenty nie mieściły się w jej laptopie. Pod biurkiem stara wieża, w której kręci się znienawidzona płyta. Ada, nowa i ja tłoczmy się przed jej biurkiem.

- Honia, a Karolina nie przyjdzie?

- Z nią już rozmawiałam.

Karolina używa tego zjebanego zdrobnienia jakby liczyła, że taka poufałość załatwi jej szybszy awans. Może ma rację, nie wiem. Honorata lubi jak się do niej zwraca zdrobnieniem, więc unikam mówienia jej po imieniu. Nie chcę jej drażnić, ale też nie będę robić jej łaski. Oczy ma wilgotne, patrzy w ziemię.

- Kochani. - Zaczyna, kłamiąc od pierwszego słowa. - Dostałam wczoraj list z kierownictwa.

Nabiera powietrza. Cisza. Podnosi wzrok.

- Powiem krótko. Z końcem miesiąca żegnam się z wami. Karolina przejmie mój gabinet i będzie odpowiadała przed kierownictwem. Kończę przygodę z naszym kinem. Ada obejmuje Honoratę i ściskają się tak przez dobrą chwilę. Nowa i ja nie wiemy co robić. Brzydzi mnie ich poufałość. Trudno, to ostatni raz.

- Chciałam wam podziękować za te wspólne lata. - Mówi, kiedy Ada ją w końcu puszcza. - To był dobry okres i myślę, że dużo się nauczyliśmy. Żałuje, że to kończy się w taki sposób. Nie tak powinno być. Myślę, że udało nam się coś osiągnąć. Byliśmy dobrym zespołem.

Z trudem składa zdania, naprawdę się wzruszyła. Ściskam jej rękę i życzę powodzenia. Nowa powtarza po mnie to samo. Ada kurtuazyjnie dopytuje Honoratę o dalsze plany, dokąd idzie i czy zostaje w branży, zapewnia ją, że decyzja kierownictwa jest zła, że została przez nich pokrzywdzona i że wierzy, że Honoratę czeka wspaniała kariera. Przytulają się jeszcze raz, Honoracie polecały łyż. Ściskają się krótko, a potem Honorata posyła nam krótkie spojrzenie, pożegnanie dla nas. Ada zbiera się do drzwi i, jakby dając do zrozumienia, że będzie rezydować w tym pokoju następną po Karolinie, daje nam znak, że czas wychodzić.

- To nie zdarza się tutaj codziennie. - Mówię nowej, kiedy jesteśmy już za drzwiami. Ada poszła gdzieś, chyba teraz jej kolej na kible. - Prawdę mówiąc, myślałam, że Honorata zostanie tu na stałe.

- Chyba trochę szkoda. Była miła.

- 
- Honorata? Kiedy?
- Na rozmowie, kiedy mnie przyjmowała.
- A dzisiaj?
- Mniej.
- Co zrobiła?
- Nic takiego.
- Powiedz.
- Na początku zmiany przyszedłem do jej gabinetu i zapytałam kiedy będziemy ustalać grafik. Odpowiedziała mi, że na razie ona będzie mi ustalać godziny. Ja na to, że nie mogę wtedy i wtedy bo mam uczelnię.
- I co ona na to?
- Że jestem roszczeniowa i że nie wie, czy ja jej się oplacam. Że mogłam tu nie przychodzić, jeżeli nie chcę pracować. Ale ja przyszedłam tu właśnie dlatego, że są elastyczne godziny pracy. Trochę ją rozumiem, bo chyba zostało ostatnio mało osób, ale muszę chodzić na zajęcia. Potem powiedziała, że w sumie i tak ma to już w dupie, bo to nie jej zmartwienie. Teraz wiem co miała na myśli.
- Nowa, jak jej było, Zuza? Wygląda teraz dużo starszej niż rano. Założę się, że w liceum pyskowała nauczycielom i obrabiała im dupę za plecami, a teraz zachowanie Honoraty przyjęła z dojrzałym zrozumieniem. Jak wiele mądrości może zyskać studentka po jednej zmianie w pracy.
- Idź do komórki po mopa i ogarnij jeszcze korytarz. - Mówię jej może trochę zbyt ostro. - Zaraz się zbieramy.
- Chyba jest już zmęczona, człapie trochę niezdarnie, za to bez słowa skargi, jak my wszyscy. Przez moment myślę o niej jak o młodszej siostrze i z jakiegoś powodu żal mi jej rodziców. Chyba myśleli o innym losie dla ich dziewczynki.
- Pukam do drzwi gabinetu Honoraty. Nikt nie odpowiada, wchodzę. Z małego głośnika leci radio, Honorata przegląda segregatory na półkach i w pierwszej chwili mnie nie zauważa. W końcu odwraca się, segregator prawie wypadł jej z ręki.
- Przestraszyłaś mnie. - Śmieje się. - Nie skradaj się tak.
- Nie masz się czego bać.
- Czego potrzebujesz?
- Porozmawiać.
- Słucham.
- Teraz, kiedy przegrała wydaje się dużo mniejsza. Zdziwiłam się, że powiedziała tak otwarcie, że się jej pozbywają, że jest im niepotrzebna. Sądziłam, że będzie chciała podtrzymać swoją pozycję osoby, która zawsze ma rację. Teraz widać, że od początku się myliła. Zresztą, może już jej nie obchodzi utrzymywanie pozorów. Jej praca się zakończyła, a z nią jej wypracowana nieomyślność.
- Wiesz już gdzie pójdziesz dalej? - Pytam, chociaż nie o tym chciałam rozmawiać.
- Mam trochę możliwości. Mam znajomych tu i tam, popytam, może coś znajdę.
- Myślę, że powinnaś zmienić branżę.
- Tak? - Pyta, jest szczerze zainteresowana. Siada na krześle i patrzy mi w oczy.
- Wydaje mi się, że nie powinnaś pracować z ludźmi. Przyszedłam ci to powiedzieć.

---

Myślałam, że wyrzucę ci wszystko, co bolało mnie przez dwa lata, które tu spędziłam. Że będę kurwić i przedrzeźniać wszystkie twoje zachowania, które mnie denerwowały. Wiele razy zastanawiałam się jaka jesteś tak naprawdę, czy jest jakaś Honorata której nie znam. Szczerze mówiąc wątpię, a zresztą, poznałam cię taką jak chciałaś mi się pokazać i to mi już dużo powiedziało. Teraz wiem, że to przecież wszystko ciężka praca. I dlatego cię nienawidzę. Bo ty nie jesteś okrutna. Nie cieszy cię szmaczenie nowych, płacenie nam gównianych pieniędzy i siedzenie w tym gabinecie, który musisz mieć, bo to nie jest tylko pokój do rozmów, ale przede wszystkim sala tronowa, w której odbywają się audycje. Twoje auto jest zaparkowane przed wejściem w poprzek, zajmujące dwa miejsca i kawałek chodnika. To nie jest przypadek, to wspaniała demonstracja, tylko pewien rodzaj ludzi parkuje samochody w ten sposób. Albo jak zawsze powtarzasz, że na sukces trzeba zapracować. Dużo osób tak myśli, ale nie ty. Ty wiesz wszystko o pracy bez sukcesu i o sukcesie bez pracy. U nas to wszystko za dobrze działa, żeby było przypadkiem, te nasze dramatyczne podchody nad mopem czy przy kasie, kiedy próbujemy zgadnąć, czy zajmiemy czyjeś miejsce i dostaniemy w tym roku dwa złote podwyżki, czy może trzy. Trudno, co zrobić, tak jest, kto może coś na to poradzić? A ty masz ponoć szlacheckie korzenie i mieszkanie na wynajem po dziadku. To jest sukces, kurwa, kobieta biznesu! Za to mieszkanie cię podziwiamy, do niego dążymy naszą ciężką pracą. Być jak ty, narzekać na użeranie się z lokatorami, którzy płacą ci więcej niż ty nam. I to użalanie się nad swoim losem, traktowanie innych per noga, te gesty i maniery, spojrzenia pełne politowania i pokazowe zamiatanie popcornu, kiedy znów wszystko musisz robić sama, bo my nie dajemy rady, to wszystko mnie już nie denerwuje. Bo ty tego wszystkiego nie lubisz, ty się starasz. Mam wujka choleryka, który zachowuje się podobnie. Ale on jest wiejskim dziadem, głupkiem, który się dorobił na sprzedawaniu rodzinnych działek pod markety i wydaje mu się, że jest pępkiem świata. A ty masz dyplom z uczelni i zdałaś sobie sprawę, że nic z nim nie zrobisz, nie ma pieniędzy dla takich jak ty. Ja to rozumiem, bo nie ma i dla mnie. Ale, że zamiast stać się zrzędliwą babą i frustrować się na własny los jak ja, wolałaś poudawać wredną panią menedżerkę? Żebyś ty była taka od razu, to bym zrozumiała, ale chcieć być taka? To już dla mnie za dużo. I żadne twoje łzawe pożegnanie, też pewnie od początku przewidziane i zaplanowane, nie zdenerwuje mnie tak, jak przeraża mnie, że jesteś taka, jaka chciałaś być i że wszystko sobie ułożyłaś tak, jak planowałaś, jakby nie dało się inaczej. Okropne to jest i powiedziałam już wszystko, dziękuję bardzo.

Podczas tego mojego wywodu potakiwała i słuchała jakby z arogancką, denerwującą wyrozumiałością. Teraz dała mi moment, tylko tyle, żeby upewnić się, że skończyłam i wstała. Ścisła mi rękę, kładzie dłoń na ramieniu.

- Rozumiem. Przepraszam, ale musimy się pożegnać. Muszę zająć się pracą i przygotowywać się do mojego odejścia. Miłego wieczoru.

Zamykam drzwi za sobą, powoli, jakbym bała się hałasu. Nowa czeka oparta o ladę. Podłoga lśni.

- Co dalej?

- Teraz bierzemy się za śmieci. Pokażę ci gdzie są kontenery.

---

## II MIEJSCE

Sebastian Suliborski

godło: Palach

### „Dla Babci”

**S**tałem pod drzwiami. Przez cienką szczelinę między drzwiami a futryną wydobywał się równie cienki, załamujący się głos babci. Otworzyłem drzwi i spojrzałem na jej zmarnowaną twarz wystającą nieśmiało spoza grubej pierzyny. Kawałek płóciennego, wilgotnego materiału na jej czole chłodził właśnie jej obolałą – jak zresztą co dzień – głowę. Dzisiaj miała wysokie ciśnienie: 180/90. Zastrzyk, tabletki, dużo wody i telefon do psychiatry żeby umówić ją w końcu na jakąś wizytę.

Ostatnie tygodnie były ciężkie. Bezustanne bóle głowy, parę zasłabnięć, tiki i demencja. Zapominała o dosłownie wszystkim, o mnie, o rodzicach, gdzie się znajduje, dlaczego, o swojej przeszłości i teraźniejszości – raz była schorowaną, samotną staruszką, a innym razem równie schorowaną, samotną, ale już dość młodą kobietą w zniszczonym po wojnie Osieku, albo drugim Osieku, czasem i nie w Osieku, a na południu, na północy, w domu, w szpitalu, w szkole, z rodziną, z nieznajomymi, z przyjaciółmi, bez przyjaciół, bez nikogo. Najczęściej bez nikogo, zamknięta w ciasnej celi – swojej głowie.

Dzisiaj cela jest zamknięta jeszcze ciśniej niż zwykle. Nie wie gdzie jest, nie pamięta słów sprzed kilku minut, do tego zgaga, ból głowy, wysokie ciśnienie, drżenie ciała, twarzy, tiki nie pozwalające jej wyrażnie mówić i myśleć, ogrom niekształtnych i chaotycznych myśli, które wytyczają szlaki jej słowom i działaniom, szlaki nigdzie nieprowadzące; ślepe uliczki. Nie śpi i nie śni, snem wydaje się otaczająca ją rzeczywistość. W jej wymaginowanym świecie jest sama, w nieznannej jej miejscowości, z dala od Osieka.

Całe życie była sama, ale wcześniej przynajmniej zdrowa. Teraz dopadła ją ta straszna choroba, której nazwy nie pamięta, nie może przez nią pójść do pracy (za każdym razem innej), czy wrócić do swojego domu (za każdym razem gdzie indziej). I tak tworzy kolejne warstwy, rzeźbi, nakładając na stare złudy, nowsze, sprawiające, że rzeczywistość jest coraz bardziej zniekształcona, a każda taka warstwa coraz mocniej izoluje ją od rodziny. Stąd wydaje się jej, że teraz również jest sama.

Myślę, że właśnie odwieczna samotność doskwiera jej najbardziej. Miała kochanego tatusia w dzieciństwie, nie uchroniło to jej jednak, przed odzierającą każde dziecko z poczucia bezpieczeństwa – wojną. Bieda, głód, terror, naziści walczący w tych okolicach z żołnierzami AK...

Jej brat został zabity przez Niemców na cmentarzu. Wciąż do tego wraca. Miał czternaście lat. I pecha. Wcale nie był jednym z tych dzielnych młodzieńców, którzy pragnęli zginąć za ojczyznę z orłem na piersi, a których tak często widzimy na pomnikach czy w podręcznikach do historii. W jego wypadku rolę odegrali wyłącznie nazistowscy żołnierze, dla których każdy nastolatek był przyszłym przeciwnikiem, czy po prostu szkodnikiem, którego należy wyplenić, bo prędzej, czy później dołączy



---

do podziemia.

Babcia lubi też wracać pamięcią do sytuacji z niemieckim żołnierzem, który ją przeląkł, podchodząc do niej z karabinem w jeden z niespokojnych dni i zapytał, czy jest Żydówką. Pokręciła przeczącą głową i zastygła, on spojrzał zatroskany, złagodniał i schował karabin. Wyciągnął kromkę chleba i podarował jej, mówiąc: „Gdybyś była Żydówką musiałbym cię rozstrzelać”. Najadła się i chleba, i strachu.

Po wojnie została nauczycielką. Wyjątkowo miłą i delikatną, zero bicia linijką i klapsów. Była zawsze dobrym, delikatnym i wrażliwym człowiekiem. Tacy mają najgorzej. Wyszła za mąż młodo, za alkoholika. Nigdy nie była piękną. Brzydcy ludzie zwykle mają ciężę; jej bliżej było do przeciętności niż brzydoty, ale nadal to nie za wiele. Brzydcy ludzie żenią się z innymi brzydkimi ludźmi, wśród których ciężko znaleźć ludzi ładnych choćby wewnątrz, czasami wydaje mi się, że najwięcej ładnych (wewnątrz) ludzi jest pośród ludzi przeciętnych, niewyróżniających się – brzydota i piękność idą nieraz w parze z lenistwem i próżnością. Można mieć wystarczająco urody, by było łatwo, albo nawet, by ona sama wystarczała, robić dobre pierwsze wrażenie, wyglądać na osobę z klasą. Albo jest się na tyle brzydkim, że i tak nie ma się żadnych perspektyw, odpuszcza już na początku, kopie doły i ten jeden, pod sobą. Jeszcze ciężę być brzydkim w mieście jak Osiek, gdzie brak perspektyw był czymś naturalnym.

Ona jednak była dobra. Dla niej niedobrze. Mąż, Mietek, bił ją, kradł pieniądze na kolejną butelkę wódki, nocował u kumpli od flaszki, wracał rano na kacu, albo w nocy – pijany i zły na nią. Ładował w areszcie, bójki, picie w miejscach publicznych, drobne kradzieże. Nigdy nie zaznała od niego miłości. Była zbyt dobrym człowiekiem, liczyła, że się zmieni, albo że ona go zmieni, a gdy się jej nie udawało, zmienia go dzieci. Zmieniła dopiero śmierć. Umarł ponad dwadzieścia lat temu na raka. Gdy nowotwór został wykryty, było już za późno, potrzymali go parę dni w szpitalu i wypisali, żeby umierał w domu z rodziną. Rodziną, która go przede wszystkim nienawidziła, ale jego dzieciom było bliżej do matki niż ojca. Byli z nim do końca.

Przez całe życie nie doznała prawdziwej miłości, w znaczeniu romantycznym, w którym istniałby ktoś dla kogo byłaby najukochańsza, mogłaby się z tą osobą rozwijać, rozmawiać, czy chociażby płakać razem z nią, a nie przez nią. Całe życie – osiemdziesiąt pięć lat – nędzy i samotności, braku kogoś, kto utuliłby do snu i powiedział, że jest dla niego całym światem. Jak się musi czuć taka osoba? Całe życie trzymania uczuć w sobie, opieka nad rodzicami, potem nad dziećmi i nad dziećmi w szkole; wszyscy kochani, ale nigdy nie zastąpią tej jedynej miłości. Całe życie obowiązki, śniadanie, obiad, kolacja, dom, praca, dom, praca, dom, dzieci, kupy w pielusze, potem nerwica, Parkinson, demencja, kupy w pielusze, cisza i cisza, już tylko czeka na ostateczną ciszę; zbawienie, koniec, oznaczający również koniec cierpienia.

Będąc dzieckiem, nastolatkiem, młodym dorosłym żyje się przyszłością, potem jest to głównie teraźniejszość. Starzejąc się na znaczeniu coraz bardziej zyskuje przeszłość, aż pod koniec życia jest ona jedynym co zostaje. Przyszłości już nie ma. Zostają choroby, słabość, rezygnacja, puste łóżko, pusty pokój, w domu czasami rodzina, która wtedy jest jedyną częścią przyszłości. Nie żyje się już wtedy, tym



co czeka, tylko tym, co czeka rodzinę – dzieci, wnuków. Stawiając się w sytuacji staruszki, która nie ma już przyszłości, a teraźniejszość to ból i nieobecność, dla której przeszłość to również ból, ale i samotność, osiemdziesiąt pięć lat w jednym, smutnym miejscu, będąc neurotyczną biedaczką (ona nawet bała się wyjść do kościoła, bo ludzie, bo mąż pijak, co powiedzą, będą patrzeć na to limo pod okiem i dopiero gdy moja matka brała ją za rękę, szły razem), łatwo wyobrazić sobie rezygnację, która przejmuje stery nad życiem. Gdy przyszłość dotyczy już jedynie rodziny, a człowiek staje się – co najwyżej – obserwatorem, teraźniejszość już nic nie znaczy i nie ma też przeszłości – nie zostaje nic, prócz ciasnej celi i modlitwy, by Bóg zesłał w końcu śmierć. Całe życie nie słuchał, w niczym nie pomógł, może tylko w tych dobrych dzieciach i ich wnukach. A nuż tym razem posłucha?

Dzisiaj cela jest zamknięta jeszcze ciśniej niż zwykle. Leży w łóżku i głośno modli się. Słyszę każde słowo i każdy szloch, czy westchnięcie. Patrzy beznamiętnie w sufit i mówi, pojękuje, woła. Co parę słów załamania głosu, zmiany tonu, lekkie wibracje, drżenie, zająknięcia, krótkie przerwy na przełknięcie śliny, albo poprawienie sobie wilgotnego płótna na czole.

– Matko nieskalana, Matko najczystsza, Maryjo ukochana, Królowo Polski, Panno łaskawa, zmiłuj się nade mną. Módl się za mną i za moją rodziną. Boże daj im zdrowie. Niech dobrze żyją z sąsiadami. A mi ukróć cierpienie. Pozwól mi odpocząć, zasnąć, a daj pociechę moim dzieciom. Boże, kocham Cię.

Na chwilę przerwała. Krótka pauza i śpiew. Jąkała dość niewyraźnie, bez konkretnej melodii. Po chwili wszedłem do pokoju, żeby chociaż zmoczyła usta wodą. Zauważyła mnie dopiero, gdy stanąłem z butelką przy łóżku i uśmiechnęła się.

– Zawsze lubiłam śpiewać. Nadal próbuję i wychodzi mi gorzej niż kiedyś, ale pomaga nie myśleć o chorobie.

– Napij się. Znowu masz tiki.

Napiła. Siedziałam dłuższą chwilę w ciszy, oparty o ścianę na kołdrze, tuż przy jej nogach.

– A ty tak przychodzisz do mnie, bo cię wyznaczili do tego, dzisiaj twoja kolej? – Przecież dla ciebie przychodzę. Nie siedziałbym u ciebie całego wieczoru wczoraj, no. Jesteśmy rodziną.

Trochę ją to pocieszyło. Nie wiem co bardziej – rodzina, czy ktoś siedzący z nią z własnej woli?

– A jacyś lekarze? Są gdzieś tutaj? Głowa mnie boli.

– W domu jesteś. Wolska 30. Pamiętasz?

– Tak? A to nie w szpitalu? Ale gdzie to jest? Daleko do Osieka?

– W Osieku jesteś. Ulica Wolska. Naprzeciw mieszka Kozodujka i ta druga, Ociepka. W prawo Pliskowola, na lewo masz Połaniecką i Rynek. Pamiętasz pomnik na Połanieckiej? – Jaki pomnik?

– No... Niemca, Ruskiego i... – Mietka Suliborskiego. – dokończyła za mną, rozchmurzając się nieco.

To zawsze działa. Kilka minut posiedzieliśmy w ciszy, wróciła do modlitwy jakby cisza zdążyła ją przerosnąć.

---

– Maryjo kochana, Maryjo nieskalana, daj zdrowie moim dzieciom i wnukom, a mi daj odpocząć, wysłuchaj moich modlitw, o, ukochana, najłaskawsza matko. – Dlaczego modlisz się na głos? Rób to w myślach, ledwo mówisz.

– Wiem, ale wtedy nie myślę o tym jak się czuję.

Nie myślę o śmierci. – To dam ci chociaż jeszcze wody. Chcesz?

Przytaknęła.

– Dziękuję. Oby ci się w życiu ułożyło jak najlepiej, mi już nic nie zostało. – Tak, tak. Wiem.

– Używaj świata, póki młode są twe lata. Jakoś tak to szło, albo... A ile ja już mam lat?

– Osiemdziesiąt pięć – odparłem, zbliżając twarz do jej twarzy.

Polubiłem głaskać ją nosem w nos, jak rodzice lekko gładzący nosem swoje kilkuletnie dzieci. Ja mam osiemdziesięciopięcioletnie dziecko.

– O matko, to ile ja jeszcze będę żyła?

– Nie wiem, ale co roku życzymy ci sto lat, więc chyba jeszcze trochę. – I co roku, gdy pytam, mówią mi, że mam osiemdziesiąt pięć.

– Jak chcesz, możemy mówić, że osiemnaście.

– Wtedy to już nikt nie uwierzy – odparła radośnie, znów na krótką chwilę się rozchmurzając.

Szybko jednak wróciła do poprzedniego tematu, a wraz z nim do poprzedniej ponurej miny.

– Mam tyle lat... – westchnęła. – Były one różne i mało kto z dawnych został. Wszystkie moje przyjaciółki... Nie mam już żadnej z tamtych lat. Nie mam nikogo. Boję się tych lat przede mną.

– I za każdym razem zapominasz, że masz mnie, i Radka, i Jolę.

– Ale wy znowu wróćcie do siebie i sama zostanę, a ja potrzebuję kogoś, kto będzie codziennie przy mnie.

– Będę. Nigdzie się nie wybieram. Chcesz zobaczyć mój pokój? Jest tam zaraz za drzwiami. Śpię tam, nasłuchuję, czy wstajesz i będę nasłuchiwał, i przychodził, gdy tylko zapagniesz.

– Tak? Od kiedy?

– Od dwudziestu lat. Chodź pokażę ci. Mam tam kupę książek.

– Kiedyś lubiłam czytać, ale teraz oczy nie te - męczą się szybko, łzawią i nie widzę prawie niczego, nawet nie wiem, gdzie okulary.

– Za to ja je widzę, tam są – wskazałem palcem półkę na której leżały.

– To później pójdziemy, najpierw muszę się wysikać. I nie mam siły.

Odpocznę trochę. – znów zmarkotniała.

Wyszedłem. Przez chwilę czułem się jak bohater mojej przyszłej wspaniałej powieści – podeszedłem do swojej biblioteczki, trafiłem na poruszający fragment książki pocziwego i niebywale nudnego Marqueza, i tak samo jak mój bohater (którego stworzyłem długo przed tą sytuacją) wróciłem wspomnieniami do pewnej osobliwej sytuacji, odrobinę podumałem, wzruszyłem się, podrapałem po jajkach i wróciłem do babci, która siedziała już na rogu łóżka i zakładała świeżego pampersa.

---

Nadszedł czas na najbardziej nie lubiany przeze mnie moment naszej codziennej babcino-wnukowej rutyny – opróżnianie wiaderka. Zniosłem je do łazienki, wylałem zawartość do kibla (chlapiąc przy tym spodnie) i szybko spłukałem, czując odór rzadkiego, starego gówna (tak, gówna również się starzeją). W międzyczasie zapytałem, czy nie jest głodna – nie była, ale mogłaby coś zjeść, co znaczy, że była, ale sama nigdy tego nie przyzna. Taka odpowiedź jednak mnie satysfakcjonowała, zazwyczaj muszę szukać jakiś asów w rękawie, by ją namówić, albo przekupić. Zszedłem do kuchni upichcić szakszukę. Dziś w zanadru miałem szarlotkę, staruszka będzie miała niespodziankę.

Już z gotowym śniadaniem przysunąłem stolik do łóżka, siadła przy nim, a naprzeciw ja. Szakszuka wyszła mi świetna, choć nieco pikantna. Po dwóch minutach jedzenia spojrzałem na babcię – też ją kończyła, za to ze łzami w oczach. Cholera. Przecież ona nie może pikantnego. Zacząłem się głupio śmiać.

– Smakuje ci?

– Tak. Dobrze. – Uśmiechnęła się niemrawo i spojrzała na resztki śniadania na talerzu, dosłownie dwa gryzy.

– A nie pikantne?

– Nie. Dobrze.

– Na pewno?

– Troszkę, ale nie szkodzi.

Znów się głupio śmiałem. Nigdy nie powie złego słowa, choćby moje niewypały smakowały i wyglądały jak jej gówno. Zje i nawet nie zająka się, że niedobre. Co najwyżej następnym razem powie, że woli kanapkę z dżemem, od tamtego tam, co ostatnio było. Jakbym usłyszał: „Dobre, ale nie rób więcej”. I już nie robię.

– To dobrze. Bałem się, że pikantne jak zaczęłaś płakać. Ale najwidoczniej to tylko wzruszenie. Miło mi.

Teraz to ona się śmiała. Zrozumiała, że i ja rozumiem. Nie bez powodu od zawsze powtarza jaki to ja inteligentny i spostrzegawczy jestem. I przystojny oczywiście – pewnie panny za mną sznurem.

Ostatnio nie odezwała się, gdy jadła niesłoną, niezbyt jej smakującą i wciąż spadającą na sweter, przez drżące dłonie, Carbonarę. Gdy zapytałem jak smakowało, odrzekła jedynie: „Eeeem... Zjadłam”. I jak tu jej nie kochać?

Zniosłem naczynia, na ich miejsce przyniosłem szarlotkę i znów oparłem się o ścianę przy jej nogach, by posiedzieć kilka minut w ciszy. Rozmowy nigdy nie były dla niej najważniejsze, najważniejsza była sama obecność. Ktoś jest, pamięta o niej, pomaga, gdy trzeba, przytuli i wsadzi do kieszeni swoich spodni wymięta pięćdziesiątkę (a niech tylko spróbuje odmówić). Przeszedłem się jeszcze po głośnik brata i puściłem Annę Jantar.

Uwielbia ją. Gdy puszczam smutniejsze, bardziej nostalgiczne kawałki z tamtych lat, nudzą ją, dołują, ale Jantar to zawsze powiew świeżej energii i miłe, choć chaotyczne i urwane wspomnienia, do których próbuje – zwykle z miernym skutkiem – wrócić. Słyszę wtedy co chwilę: „O, znam to”, „Pamiętam jak kiedyś... Nie, nie pamiętam”, „Zawsze lubiłam Jantar, pamiętam jak... Nie, nie pamiętam”. Najważniejsze, że lubiła i nadal lubi. Niewiele poprawia jej humor jak Anna Jantar i owe poszarpane fragmenty

---

wspomnień.

Wyszedłem na trochę. Kawa, książka, marynata do kurczaka, koty, psy. Wróciłem, gdy znowu zagwizdała. Mogłaby gwizdać cały dzień. Ból głowy? Gwizdek. Zgaga? Gwizdek. Kupa? Gwizdek. O, gwizdek, skąd go mam? Gwizdek. Uchylając drzwi byłem pewien co ujrzę.

Babcia pod czymś spojrzaniem jest powolna, roztrzęsiona, każda czynność może trwać godzinami, ale od czasu do czasu, gdy się ją zostawi na dłużej, po powrocie łóżko nagle jest zasłane, ona ubrana, uczesana, na stoliku porządek i zamiast gwizdać z każdym, najmniejszym problemem, gwizdże, gdy odwali całą robotę, jakby obwieszczała wypełnienie zadania. Jeszcze pół godziny temu modląc się o śmierć, teraz mówiła, że chciałaby jeszcze trochę pożyć. Jest chora, pewnie niedługo umrze, czasami nie chce się jej żyć, ale tylko tak mówi. „Przecież, wy, moje wnuki kochane, dzieci, no szkoda byłoby”. Nadal myśli, że to nie Osiek, że w sumie to nie wie, gdzie jest, może do szpitala będzie musiała jechać, nawet ktoś wspomniał ostatnio o szpitalu.

Krótkie napomknięcie, słowo za dużo, często wystarczają, by coś źle zrozumiała i we własnej głowie stworzyła całutką historię. Ostatnio na przykład wymyśliła historię o podróży na północ Polski, gdzie spędziła wiele lat, miała nawet drugiego męża. Nie pamięta niestety jak miał na imię i jak nazywała się owa miejscowość, w której razem mieszkali i dlaczego nie mieli żadnych dzieci, a z Mietkiem aż trójkę. Stworzyła sobie kogoś kto ją kochał i był dla niej dobry. Kilka dobrych lat. Całkiem zręcznie to wymyśliła, choć rzadko o tym pamięta. Tego dnia twierdziła również, że Mietka nienawidziła i nie chce być pochowana w jednym grobie z nim. Szkoda, że nie pamięta, gdzie grób tego drugiego.

Skoro była już ubrana, namawiałem ją żebyśmy zeszli do salonu, włączam jej wtedy TV, siadamy w fotelach, ja czytam książki, a ona ogląda seriale, albo teledyski THE BEST OF 80s/90s. Za to przy znośnej pogodzie wychodzimy na balkon, leniuchujemy z kotami na kolanach, czasami wyciągnę wózek i pojeździmy po podwórku, a może nawet ulicy, niczym Philippe i Driss. Ostatnio coraz rzadziej się to zdarza. Teraz też nie była pewna tego, czy chce zejść.

– Nie wiem, nie mam siły. Teraz się tak szybko męczę. Ledwo łóżko zasłałam.

– I po co? Za każdym razem...

– I ręce mi tak drżały, a żeby się wyciągnąć tam... to też...

– Za każdym razem...

– Chciałabym jeszcze trochę pożyć, ale nie mam siły – znów mi przerwała. – Jeszcze pół godziny temu chciałaś umrzeć – odpowiedziałem zrezygowany. – Nie, nie... Ale i tak nie mam siły, a chciałabym się jeszcze wami trochę pocieszyć. Tam już na pewno na mnie czekają.

– Co? Gdzie tym... – głośno prychnąłem, świadom swojego błędu – A, tak. Tam na górze. Na pewno masz już zarezerwowane miejsce w pierwszym rzędzie. Teraz też i ona się uśmiechnęła.

Wywołanie uśmiechu u wiecznie smutnych ludzi jest warte tysięcy innych uśmiechów. Nie pierwsze uśmiechy nieznajomych, urocze uśmiechy, które widząc, możemy uznać, że się zakochaliśmy od pierwszego ujrzenia, tylko uśmiechy ludzi, których się zna od

---

lat, wie o ich problemach i o tym jak rzadko się uśmiechają; uśmiechy wywołane przez choćby kiepski żart, albo niezręczny komplement. Obojętnie z jakiego powodu, liczy się jedynie siła takiego uśmiechu, a raczej siła smutku, który został w owej chwili pokonany.

– Kochany wnusiu... – rzekła cicho.

I powtórzy głośniejsze:

– Wnusiu. Wnusiu kochany...

Uwielbia to mówić. Średnio dziesięć razy dziennie słyszę „wnusiu kochany”.

– Dobrze, że cię mam. Mam dla kogo żyć, ciągle przychodzisz, a mi się tak przykrzy.

Usta składające się do całusa. Nie mogę odmówić. Łatwo jej mnie wzruszyć.

– Dobrze, dobrze.

Nieco odstepuję, żeby nie przygniatać jej swoim cielskiem i przełączam z Anny Jantar na Magdę Umer. Obie są wspaniałe.

– Nikt mnie nie kochał. Mietek nawet na mnie nie patrzył. Teraz mam chociaż ciebie. Potrafi mi tak słodzić naprawdę długo, więc choć na chwilę jej przerwałem.

– Pamiętam jak jeszcze w dzieciństwie, może dziesięć lat temu, mówiłaś, że pewnie długo już nie pożyjesz i nie doczekasz naszego dorastania. Mówiłaś, że chciałabyś zobaczyć jak kończę szkołę, idę na studia, a na koniec najważniejsze – żenię się. Do odhaczenia został tylko ostatni punkt, musisz wytrzymać jeszcze parę lat, a ja już dopilnuję, żebyś doczekała.

Nadeszło kilka minut rozczulających i niezręcznych słów, potem rozmowa przeszła na kreskówki. Puściłem więc Krecika na YouTube. Dopiero po minucie, dwóch przypomniła sobie o jego istnieniu. Oglądaliśmy jeszcze Smerfy. Przypomniało jej to jakąś piosenkę z czasów młodości, którą zaczęła nucić pod nosem. Szybko się jednak zmęczyła, podałem jej butelkę. Wzięła parę drobnych łyków.

– Nie znam tego. Ładne – powiedziałem, siadając obok.

– Śpiewałam to w szkole z Kryską. Pamiętasz Kryskę? – odpowiedziała z rzadko pojawiającym się ostatnio u niej uśmiechem i wróciła do nucenia, ale znów ton ciszej.

– Tak, tak, pamiętam. Idziemy na dół? – zapytałem, po drodze biorąc do ręki inny, czystszy sweter.

Babcia przytaknęła, poprawiła jeszcze spodnie na tyłku i wyciągnęła rękę. Siedziała jeszcze chwilę nadal nucąc, tym razem już coś innego. Wstała, czując więcej siły w nogach i ruszyła za balkonikiem.

– Gdy śpiewałam było mi prościej – wysapała, będąc przy drzwiach. – Teraz już się zmęczyłam. Myślę wtedy... i te nerwy. Jak śpiewałam, nie myślałam. – Szła dziewczeczka do laseczka... – teraz to ja, zaczynając od topornego, wręcz mówionego wersu, zacząłem cicho nucić i ciągnąć delikatnie balkonik za sobą. – Do zielonego, łahaha...

– Do zielonego... – babcia mi wtórowała.

Takim sposobem przeszliśmy kilka metrów do pokoju rodziców. Włączyłem telewizję, usiadłem obok niej. Ona oglądała, a ja zacząłem pisać to opowiadanie. Nawet nie wiem, czy dla mnie, czy dla kogoś, na pewno dla pamiątki.

Minęło kilka dni.

---

Tym razem to ona siedzi u mnie – w końcu mogę jej pokazać moje książki. Wertuję kartki, podaję jej co ładniejsze okładki, przygląda się im i czyta tytuły. Mama weszła do pokoju babci, gdy ta siedziała ubrana na brzegu łóżka. Mama chciała ją zaprowadzić do salonu i włączyć TV. Babcia jednak wciąż powtarzała:

– Chcę swojego chłopca.

Przyszły więc obie do mnie, stojąc w drzwiach babcia zwróciła się do mnie „synusiu kochany”, po krótkim wtrąceniu, poprawiła na „wnusiu kochany”. Usiadła na łóżku i tak sobie siedzimy od tamtego czasu.

W tle leci Sława Przybylska, babcia smuci się, że nie dostała od psychiatry nowych leków. Na szczęście nie wie, że w przeciwieństwie do niej, ja dostałem. Słucham o jej nerwicy. Delektujemy się nią wspólnie.

Wiem, że jeśli dożyję starości, będę jak ona. Zazdroszczę jej siebie. Starzy neurotycy potrzebują młodych neurotyków. Przytulasów i nostalgii.

### III MIEJSCE

Tomasz Józef Bajewrowski

godło: sochocki

## „11”

Siedziałem na przystanku i czekałem na autobus.

Wciąż są, wciąż jeżdżą, jeden pod wieczór już. Autobus, to taka nadzieja na sen we własnym łóżku po wielu dniach w śpiworze, to taka pewność, że się nie zostanie na środku obcego pola, w deszcz, w śnieżycę, jak ja kiedyś, kiedy nie dojechał, bo warunki mu nie dały. Wracałem na kilka dni do domu z kwatery. Siedziałem i myślałem o wszystkim, jak to się ładnie mówi.

I o tym, co powiedział Mirek.

O tym, jak znalazł gościa przywiązanego do drzewa na leśnym parkingu, ale takim na wzrok oddalonym od ruchliwej szosy. Wracał z lasu wieczorem, a właściwie prawie nocą, jak się z lasu wraca. Wracał inną drogą, niż wcześniej do lasu szedł. Miał wyjść na taki leśny parking, a stamtąd, to już wiadomo jak do samochodu, który zostawił parę kilometrów dalej. Idzie, idzie i słyszy jakby ktoś wołał, ale nie tak nawet mocno, tylko jakby już ochrypłym głosem. Noc, las i głos o pomoc. To nie robi człowieka mocniejszym.

Ten, co krzyczał stał, a właściwie zwisał przywiązany do drzewa, na skraju parkingu. I wołał o pomoc. Spodnie przemoczone, a nie wiadomo czy i nie coś więcej, lekko zsiniały, a właściwie białe, czemu się dziwić i nie było jak. Okazało się, że stał tam już ze dwa dni. Wrzeszczał, aż ochrypl i nikt, ale absolutnie nikt się nie pojawił. Świat nie istniał, był tylko on i jego strach, strach że to być może już...

Stał, aż już nie miał sił stać i zawisł pod pachami na tej linii, którą go ktoś do drzewa przywiązał. Stał i nic z tego nie rozumiał, bo jechał normalnie do domu, szczać się zachciało, zatrzymał się, stanął pod drzewem, wyciągnął fiuta i tyle...

Ocknął się przywiązany. Stał i jak słyszał, że coś jechało, to dał ryja na cały las. Na początku, jakby speszony, bo jak tu w lesie krzyczeć, później już bez obaw, ale nikt się nie zatrzymał, nikt nie słyszał.. A raz nawet na parking ktoś zajechał, zatrzymał się i otworzył drzwi samochodu. Było słychać.

To on znowu we wrzask, jakby dopiero co się urodził, ale to spowodowało jedynie to, że tamten, ktokolwiek to był, szybko zatrzasnął drzwi i tak samo szybko odjechał. Nawet nie pamiętał już czy to było w dzień, czy to było w noc. Zatrzasnął i odjechał.. Stał, widział i słyszał ruch na drodze, i po pierwszej nocy już zaczął myśleć, już się godził z tym, że może mu się nie udać, że to może już... Nawet tak blisko drogi, ruchliwej drogi... ...

I Mirek go tam znalazł. Też miał lekko miękko, ale sobie poradził. Odwiązał, patrzył jak odwiązany gościu od razu szczy za trzech, albo za cały Świat i wszystkie jego niedoskonałości, i jak wraca do ludzi.

...

---

Mówił, że w nocy jak się ocknął, jakieś coś łąziło w pobliżu, to wrzeszczał, bo się bał, że go to coś zeżre, ale co może człowieka, nawet przywiązanego do drzewa, nocą w lesie zeżreć? Własna wyobraźnia i strach tylko. Ale może.

Że jak pierwszy raz się zeszczał w spodnie, to mu było jakoś głupio, ale już nie mógł wytrzymać, że w dzień Słońce na szczęście nie sięgało go bezpośrednio, tak go dobrze przywiązali, i że jechał do domu, do Giżycka i się mu właśnie też szczać zachciało, to zatrzymał się na tym parkingu, takim śródleśnym, takim dla rekreacji, i że pamięta, że coś też tam za nim wjechało, i że jak szczał to dostał w łeb...

Później, jak się pierwszy raz ocknął, to lina mu się pod pachami tak wrzynała, że myślał, że nie wytrzyma, to się na nogach prostował, żeby stać przy tym drzewie, ale ile razy przysnął później, to tyle razy sytuacja się powtarzała, i że raz, to mu się przysniło, ale tak realnie, jakby na jawie a nie, że się przysniło, że jest w znajomej leśniczówce, tej, co zwykle w niej bywał, i że jest Sylwester, i się dobrze bawią, i że wyszedł się przewietrzyć z tej leśniczówki w noc, i były wilki za jeziorem, za zamarznąłą, białą lodową taflą, gdy mróz i leśna, nocna cisza, bo niebo wygwieżdżone, że jakby ręką sięgnąć.

Nocna cisza, sycząca, że słysząc jak się śnieg zsypuje z drzew przy najmniejszym podmuchu, ale nic nie wieje. Wyją wilki za jeziorem. Magia. Noc.

Zwykła, normalna noc ale dla niego była wyjątkowa, bo tylko tu i tylko teraz, cały Wszechświat jego, jakby to nie brzmiało, tak chciał, i czuł wtedy wyjątkowość chwil, których przecież zwyczajnie nie ma, i że prawie wypełniamy cały ten odczuwany Wszechświat, bo poza nim nie ma nic, tak chcemy, przez chwilę, i radość życia, przez chwilę... I wróciły odgłosy zabawy z leśniczówki, i wracał, z poczuciem, że dotknął czegoś, czego inni nie dotknęli. Wiedział, czuł, że to bzdura, ale był przekonany, że to wyjątkowość, bo tak było. Wracał do leśniczówki po skrzypiącym śniegu, mróz trzeźwił, było dobrze... Gwar i ciepło uderzyło ze zdwojona siłą, jak tylko przekroczył drzwi. Niedobrze wracać. I się ocknął.

Był sam w lesie, przywiązany do drzewa, już lekko odczłowieczony, tak szybko i tak łatwo, kilkadziesiąt kroków od ruchliwej trasy, którą teraz nie jechało nic.

I Mirek go znalazł. Wieczorem..

- Życie, panie, to nie film, że pan obejrzysz, pójdziesz spać i obudzisz się rano – powiedział.

Ocalony, jak policja go zabierała z tego parkingu, bo Mirek po nią zadzwonił. ...

Autobus przyjechał prawie wtedy, gdy miał. Wsiadłem. W autobusie było kilka osób. Kupiłem bilet u kierowcy i usiadłem. Było ciemno ale świadomość powrotu po kilku dniach w terenie dawała takie przytulne ciepło, że chciało się jechać i jechać, i było jakby człowiek się wybierał w podróż życia. Dobrze było.

Jechałem.

Autobusowe ciepło rozleniwiło, rozsypało, myśli się pojawiały też takie ciepłe i leniwe, bo do domu się jechało. Sama robota nie jest ważna, ważne są właśnie wszystkie wokół niej myśli.

Myśli, na przykład, na kwaterze, wieczorem, kiedy chłód nieprzytulny i wilgoć ukryta w każdej desce podłogowej powodują, że dopiero pół godziny leżenia nieruchomo śpiworze daje to ciepło, którego nie chcemy się pozbyć do rana. I nie można włączyć



---

do śpiwora w jakimkolwiek ubraniu. Nawet piżama, jak kto ciąga ze sobą w teren, to za dużo. Gacie i podkoszulka, najlepiej włoska, na ramiączka jak damski stanik, tylko to, pół godziny i jest ciepło. Nawet jak przed nosem na śpiworze szron...

I ja przysnąłem w tym autobusie, jak ten gość przywiązany na parkingu. Jechałem autobusem do domu, było autobusowe ciepłko, było ciemno za oknami, były różne myśli, było dobrze.

Jak kto jechał z pola, po wielu dniach, autobusem do domu, to wie, a jak jeszcze dopiero co zaskoczyła go zima w listopadzie, w tym polu, to tym bardziej.

A nas zaskoczyła i nie można było w polu robić, dopiero co nas zaskoczyła. Dwa dni temu, gdzieś tak wczesnym popołudniem, przyszła od wschodu mniej więcej, taka czarna chmura, zaczęło wiać, ochłodziło się potężnie i zaczął sypać gęsty śnieg. Mocny śnieg. Robić dalej nie dało rady i musieliśmy znaleźć jakąś tymczasową kwaterę, żeby w UAzie nie nocować, bo starą zwolniliśmy rano, a nową jeszcze nie załatwiliśmy, a roboty w polu było jeszcze na niejeden dzień. Żeśmy się spakowali błyskawicznie do UAza i ruszyliśmy, jak się to mówi, przed siebie szukać czegokolwiek. Śniegiem waliło jak złe, jechać było trudno, bo się polna droga szybko zagubiła w tym śniegu, ale UAza mieliśmy, to parliśmy naprzód licząc, że się nie wkleimy na środku pola gdzieś. Na środku pola się nie wkleiliśmy ale zobaczyliśmy na nim, na lekkim wzniesieniu, otoczone starymi świerkami jakieś zabudowania, które w tej śnieżycy majaczyły jedynie, ale to była nasza jedyna już chyba szansa. Podjeżdżamy, a tam pusto. Nikogo. Okazało się, że było to stare, opuszczone siedlisko. Dom był niezamieszkały od dawna. Drzwi wprawdzie były ale okna powyrywane z futrynami na parterze prawie wszystkie, chociaż w jednym pokoju zostały ale bez szyb oczywiście. Piece rozebrane do podłogi ale na szczęście kuchnia w kuchni prawie cała się ostała. Na szczęście, bo za oknem, którego nie było wciąż waliło śniegiem jak w najlepszych filmach o Bożym Narodzeniu. - Leż na górę – Gutek prawie dyrygował do mnie, to połażem. Schodami drewnianymi kiedyś, teraz dało się wejść jeszcze. Na poddaszu normalny strych z jakimiś coraz gorzej widocznymi gratami, bo się powoli ściemniało na dobre i, i na szczęście izba, jakie często na tych strychach w chałupach mazurskich robili, taka przytulona do komina. Drzwi są.

Otwieram i widzę pokoik z oknem, w którym tylko dwóch szybek brakuje. Miodzio! - Git jest! Żyjemy! – krzyczę do chłopów na dole.

Żyjemy, bo jakąś dyktę, albo deskę to w tej ruinie, jaką teraz jest to siedlisko z pewnością znajdziemy, a jak znajdziemy, to i załatamy ten brak w oknie. Będzie przytulnie. Ale pokój pusty, a na czymś spać trzeba byłoby.

W czym, to każdy ma, bo jak się w teren jeździ na kilka dni, to zawsze każdy sobie taki worek, jak marynarski ale mniejszy szykuje, a w nim śpiwór, najlepiej o tej porze roku puchowy. Ja taki mam, jeszcze z gór kiedyś. Karmaty i trochę biwakowych drobiazgów, żeby się dało byle gdzie i w byle czym przenocować, w najgorszym wypadku w UAzie, ale na czym, żeby nie całkiem na podłodze?

Co prawda drewniana, ale jako że wszystko pootwierane na oścież, to i wilgotna a nawet mokra. Żaden komfort hotelowy...

Wychodzę, wpatruje się w ten strych i widzę jakieś stare łóżko, tyle, że rozmontowane,

---

w częściach i jakieś pozostałości szafy chyba. No to będzie z czego deski wyrwać i małżeńskie łóżko zrobić. Spać będzie gdzie. Złazę na dół, a tu już chłopcy zatkali okno w kuchni jakimiś deskami, co to je z obórki chyba przynieśli i jest nieźle. W UAZie zawsze jest siekiera, bo to albo jakieś pale się tnie, albo przecinki robi, i w ogóle bez siekiery to ani rusz.

Więc już Zdzisek, kierowca, rąbie coś na drwa, żeby w kuchni spróbować ogień zrobić. Ogień to podstawa, a na odludziu to być albo nie być, i to nie jest pytanie...

Nie ma żadnych naczyń, nie ma nic, a gorącego by się przydało. Tym razem nie będzie. W ogóle wody nie mamy jakoś tym razem, ale gorzała oczywiście jest. Przeżyjemy... Siedzimy, jak zwykle wieczorem. Gdzie byśmy nie byli, to wieczorami siedzimy. Tym razem każdy na swoich bambetlach, aby tylko się od podłogi i ścian odizolować i żeby w dupę zimno nie było. W kuchni się pali, dym na chałupę prawie nie leci, czyli komin funguje. Zaraz będzie ciepło, na dole, w kuchni, a raczej w pozostałości po niej. Sama kuchnia-palenisko też trochę zdemolowana, dziury ma i ogień przebłyskuje. Ogień.. Nie znam nikogo, kto by ognia nie lubił, każdy lubi, nawet jak się nie przyznaje. Atawizm to, jak to mądrze, biegli w mowie i piśmie podają. My, w mowie byliśmy całkiem biegli, w piśmie nikt nie sprawdzał, ale i nikt nie wymagał. Zresztą my, jak my, ale ja słuchałem, bo było czego, nawet jak nikt nie mówił, bo zmęczeni zbyt, ale to i tak słuchać było co.

Co jest w ogniu, że tak?

Słyszałem taką opowieść, że kiedyś, jakiś ktoś rozniecił ognisko, nie pierwszy raz, bo zwyczajnie lubił. Siedział sobie, gapił się w ogień i rozmyślał. Lubiał dym, ale kto, kto lubi ogień nie lubi dymu. Mądrzy mówią – nie ma dymu bez ognia.

Nieprawda to jest, ale brzmi jak prawda i jest fajna. Zapach, aromat dymu, to można lubić. Atawizm. No właśnie i nie ogień, a dym, dym jest ważniejszy i był. I ten ktoś twierdził, że kiedy jego przodkowie wędrowali i znużeni poczuli zapach dymu, to wiedzieli, że jak wytluką tych, co siedzą przy ognisku, to będą uratowani. Będą mieli rozpalony ogień. I podobno zawsze im się udawało, w co można było uwierzyć, bo ten ktoś to jednak opowiadał i musiał mieć przodków. Nie znam nikogo, kto nie ma... I jest jeszcze ogień czymś, co sprawia, że pozostają po nas popioły jedynie, i bliskim jest jakby lżej, gdy odprowadzają nas w takiej postaci...

Paliło się i zapach dymu się rozchodził, paliło się, a to prawdziwe ciepło wypełniało nas od stóp, jak to mówią, do głów i było dobrze, i niewymowne się kładło pod nogami i drzemało wpatrzone w ogień, tak jak my.

- No to może by tak? – Staszek zaczął się niepokoić.

- Ano trza – Gutek był z nim jednomyślnie zestrojony w ten czas, a my? My też się szybko dostroiliśmy. Polane. Łyknięte.

Mało, ale wystarczyło i Edmund, który z nami ostatnio rzadko jeździł ale teraz był, zaczął. - Eśmy szli na skróty wtedy, przez to bagno, co to je znacie przecież, przez Moosbruch, jak go tu nazywali, i musieliśmy trochę uważać, bo bagno, to bagno. Nie pierwszy raz tamtędy, ale na bagnie, to każdy raz jakby pierwszy zawsze był, bo i ostatni być mógł, zawsze. Tośmy uważali – Edmund lekko przejęty opowiadał, ale widać było, że nie pierwszy raz już... - Każdy taki długi drąg niósł, w poprzek i jeszcze pilnował, żeby

---

z boku krzaki jakie były, jakby co. I odstepśmy zachowywali, bo jakby któryś wpadł, to żeby nie dwóch naraz, bo wtedy gorzej. Ścieżka na bagnie, to taka bardziej wodą wypełniona linia i takąśmy szli ale zawsze jest tak, że nie wiadomo jak jest i tak było teraz.

I Benek wpadł, zarwało się pod nim i wpadł. Od razu po pachy, jak nic. Chlupnął, ze strachu tego kija w poprzek puścił i wpadł, a tak tego kija puścił, że nijak nie miał szans go sięgnąć, ani żaden z nas, a to bagno, to poprawek nie ma. No i siedział w tym bagnie po pachy i widać było, że go wciąga powolutku.

- I wiecie, on w tym kożuchu bagiennym coraz bardziej się zagłębiał, co się ruszył, to te centymetry bardziej go brało. I nic mu nie było można pomóc, bo samiśmy ledwo stali po dupę w błocie i się też jakoś tak zasysaliśmy, ale my mieliśmy te krzaki z boku, te gałęzie, tośmy się ich całymi garściami trzymali i jakoś było. On tych gałęzi nie miał, to znaczy miał, ale te jego były za cienkie i szedł powoli w to błoto. I się na nas patrzył takimi wielkimi oczami. On się bał i myślny się bali. I wtedy któryś, ze strachu chyba, do niego – uśmiechnij się, kurwa, coś taki poważny?

I on się uśmiechnął...

I go pociągnęło mocniej, i tylko ten uśmiech przez moment i, i już nic, to znaczy tylko bąbelki i ręce, bo ręce mu nad błotem zostały i jego już nie było, a ręce jeszcze były, ale się prawie nie ruszały, takie rozpostarte, jakby pokazywał, że jeszcze pięć piw po dwa razy chce... I po chlupie, i na zawsze on tam, na wieki on.

Bo nikt nie słyszał, żeby kogoś kiedykolwiek z bagna wyciągli ...

- Wymyśliłeś to sobie wszystko - Gutek zaśluchany jakby nieprzytomnie i odruchowo mruknął. Myśmy przecież też po Moosbruchu nie raz chodzili, ale żeby się który utopił, to nie.

- Jedyne, wiecie, co wymyśliłem w życiu to, to jak zrobić dwa piwa na trzy gule... ale i tak mi się do tej pory nie udało – Edmund spuentował, jak to mądrze mówią niektórzy, a on też lubił mówić...

I zapadła przynależna cisza.

A ja sobie pomyślałem, jak dobrze jest tu, gdzie się jest, nawet nie w domu swoim ale nie na bagnie jakimś, i można myśleć spokojnie o rzeczach ważnych, o ważnych w obliczu tego czegoś, co jest już „na zawsze”, zwłaszcza po takim dniu.

A dzień był cały na polu, cały na przełamaniu pór roku, bo jak wyjeżdżaliśmy z poprzedniej kwatery, to ciepłutka jesień była jeszcze. Rano jeszcze była, w południe jeszcze była, ale ciut po południu już jej nie było. Przyszła najgorsza zima, jaka przyjąć w terenie mogła, bo nagle i bez ostrzeżenia. Spadła na nieprzygotowanych na nią mentalnie chłopów w polu, w czasie roboty. W polu, kilka kilometrów do czegokolwiek w każdą stronę i do lasu też. Trzeba było szybko kurtki i czapki wyciągać z plecaków i worków, a ja czapki nie miałem. Nigdy więcej mi się to nie zdarzyło, ale wtedy nie miałem. W łeb mi było zimno, że słów brakuje. No było zimno...

Szybko nam ten czas w kuchni zleciał, było ciemno, bo elektryki oczywiście nie było, a na latarkach się długo nie posiedzi, a jak jeszcze zimno, bo ogień w kuchni się dość szybko kończył, bo nie było już co rąbać siekierką, to po kilku kolejkach udaliśmy się pokonani na poddasze.

Usypiałem zakutany w śpiwór i myślałem. Bo takie myśli na widok opuszczonych

---

domostw, śladów po fundamentach, czy nawet śródpolnych kęp drzew owocowych mnie nachodziły zawsze – kto tu kiedyś mieszkał? Czyje i jakie życie tu mieszkało? Dom mazurski, to może Rusek tu gwałcił jakąś autochtonkę, która nie zdążyła, albo nie chciała się z ziemi ojców ewakuować, a może nie jeden Rusek... Ile w tych murach krzywdy, bólu i strachu? A może zwyczajnie nie. Może tym się udało. Może żyli tu spokojnie, długo i szczęśliwie, i dom mógłby same dobre rzeczy opowiadać, bo domy opowiadają, gadają po nocach.

Ten, dziś milczał.

Ciepłko odśpiworne tuliło mnie coraz bardziej, nos wystawiony brał całymi garściami świeże, mroźne powietrze – chciało się spać i chciało się żyć...

Sama esencja życia, sama...

A położyliśmy się na sardynki, to znaczy, żeby przestrzeni dostępnej na ułożonych podkładach z różnych desek i ciepła nie tracić, położyliśmy się w śpiworach na przemian – łeb do stóp, stopy do łba, leżącego obok. I oddechami sobie w nos w nos nie leżeliśmy, i nic niekomfortowego z tego nie wynikało, bo w śpiworach w całości i jeden przy drugim. Najsłabiej mieli ci na bokach. Ich grzał tylko ten jeden obok, a nie dwóch po obydwu. Ja leżałem na skraju, bo miałem śpiwór puchowy i ziało na skraju mnie nie dotyczyło...

I już nawet chciałem spać, i już nawet wpatrywałem się przez zamknięte powieki w czerń i ciemność, i wsłuchiwałem w słynną nocną kanonadę wiejskich psów przez ledwo co pozatykane okno na tej prowizorycznej kwaterze, bo chociaż na odludziu, to psy gdzieś były, daleko, ale były i było je słyszeć, bo śnieg w końcu padać przestał, wyszedł Księżyc, to i wyszły psy poszczekać. Zawsze wychodzą.

I już nawet chciałem spać, bo dzień męczący był i sen się należał jak nic. A sen nie chciał przyjść, jakby sen przychodził. Człowiek zmęczony szybko zasypia i głęboko. Snów wtedy nie ma, wtedy śpi jak zabity. Sny przychodzą nad ranem, jak już człowiek wyspany trochę ale wciąż śpi. Latem, albo zimą jak w chałupie nagrzaną, sny męczące są, tych nie lubię, lubię zasnąć wieczorem i obudzić się rano, i żeby nic się nie śniło, ale zawsze jest jakoś inaczej niż byśmy chcieli. Nie mogłem usnąć, bo wciąż myślałem o tym, co nam kilka dni temu Rysiek opowiedział. Już w teren pojechał z nami jakiś ścięty. Coś chlopa gryzło. Widzieliśmy, ale niepisana zasada zabraniała pytać. „Nie trza pytać, trzeba wiedzieć, jak we wywiadzie, panowie” – mawiał Gutek, nasz terenowy mentor i myśmy się tego trzymali, bo reguły jakieś muszą być i zasady. A Ryśka nosiło, i jak się w końcu zdarzyła taka dłuższa przerwa w polu, jak siedliśmy na dłuższego dymka, przez niektórych nazywanego fajeczką-fajurką, to się otworzył. - Rozstałem się z moją i do dupy jest na razie – zaczął - rozstałem się, chociaż nie chciałem i nie chcę, ale poszła.

- Daj spokój, bab na kopy! – Don Wojciecho, nasz ekspert-praktyk próbował od razu łagodzić, ale jak zaczął, tak skończył, a jak kończył, to już było słyszeć, że wiedział, że nie trafił z radą. To nie tak, to nie dziś, to nie teraz...

- Mówiłem, że kocham, że światła nie widzę, że.. że w ogóle, a ona mi, że też mnie bardzo kocha, i że odchodzi. Nic, kurwa, nie rozumiem. Jak to kocha i odchodzi, jak?? Nic, kurwa.. – nie był Rysiek jeszcze na to gotowy.

---

- Mówi, kocham cię Rychu, patrzy mi w oczy, przytula się jak zawsze, tak ciepłutko, i że już więcej się nie spotkamy, mówi... No to jak kocha?? – chłop był zdruzgotany, a mi się przypomniało to kobiecie spojrzenie, w którym miłość i pożegnanie wygląda tak samo... Nie miał Rysiek dobrych dni, a do mnie sen nie chciał przyjść, wciąż.

Nie mogłem usnąć, bo czułem, że wszystko mnie boli. Dusza mnie boli. Najbardziej. Zmęczyła się, nawet nie dlatego, że za szybko ostatnio chodziłem i nie nadążała. Jak to dusza. Może nie nadążyć, ale że bratnią, zranioną poczuła i mojej też nie było dobrze, źle się czuję, jak mnie dusza boli...

...

Jechałem autobusem do domu...

---

## WYRÓŻNIENIE

Aneta Zuarić

godło: Lisbona

### „Ukradnę sobie szczęście”

W brzuchu nie pływają żywe ryby. Nie wkłada się do łóżka atrapy mężczyzny. Nie wolno chodzić boso po zimnej posadzce. Nie wolno patrzeć prosto w oczy. Należy spuszczać wzrok. Pocierać kolaniem o kolano jedynie dla żartu, mówiła Zoe, gdy sum podpływał jej do gardła. Paznokcie zapuszcza się jedynie w czerwcu. Dłgie maluje się czerwonym lakierem. Lunatyczki drapią nimi twarz. Błizny trudno wywabić płynem do prania. Można Ludwikiem.

Krążyć wokół Ciebie jak ćma, mówiła ściskając w dłoniach trumienkę. Nalała sobie kieliszek wódki i zasnęła obok ich nie poczętego dziecka. Ryba dopłynęła do jej stawów.

Nie nosi się długich spódnic. Pochylając się należy dyskretnie zacisnąć nogi i przykucnąć z wypiętymi pośladkami. Pokazujemy uda w dni parzyste, gdy nie pada deszcz. Nogi należy ogolić w całości. Nie omijamy intymnych partii ciała. Wygalamy wzgórek łonowy, by włosy nie wchodziły do ust.

Sum ma wąsy i podchodzi do gardła kilkakrotnie w miesiącu, martwiła się.

Przez lupę oglądała mieszki włosowe. Szukała jego śladów na skórze. Albo pyłu wynikającego z tarcia ciała. Krzyczała w niebogłosy w dni nieparzyste, gdy przysyłania nogi szlafrokiem. Wtedy nie myła twarzy, ani zębów. Nie czesała włosów. Zlepione opadały na czoło. Albo wiły się tuż za uszami. Gdy drapała się po brzuchu, paznokciami zagarniała zastygły pot. Miał zapach suszonych śliwek lub kwaszonej kapusty.

Ryba, która w niej zaległa, odbywała rejs po kanałach jej ciała.

Zaczęło się od tego, że Zoe pokochała. Stało się to wcale nieprzypadkowo, bo wierzyła w przeznaczenie. Wtedy zaczęła się myć i uśmiechać. Ważyła się też na sklepowej wadze. Podkraśniała czerwone karmelki i nimi malowała usta. Po brzuchu skrobała się rzadziej. Przestała lunatykować.

Zoe kocha, mówiono w miasteczku.

Wtedy nie było w niej ryby. Nie traciła czasu na bycie sumem, ale stanowiła sumę jego doznań. Bo mężczyzna istniał w niej raz na miesiąc. Dodawał ją do wyjazdów służbowych. Rozgrywał partię, w której róża tkwiła przy kożuchu, a butonierka w szlafroku.

Największe wypowiada się milczeniem, smuciła się.

Dotykała go jak niewidomi podczas pierwszego zbliżenia. Wyrastała z niej płacząca

---

wierzba. Albo brzoza, do której ktoś przywiązał pojemnik na sok.

Skradał się na palcach. Czarną szarfą zawiązywał oczy. By nie widziała. Nie truła żony odwieszanej na ten czas do garderoby.

Fryzurę układa się przez trzy godziny.

Loki modelujemy na szczotce. Nie biegamy z otwartymi ustami, bo wyskoczy z nich ryba. Fiołki zakwitają na wiosnę. On przychodzi w czarnym kapeluszu. W przetłuszczonej gazecie przynosi korale kielbasy.

Podczas świniobicia pada deszcz, łkała.

Czekała na skinienie, by wytrzeszczyć oczy. Odpinała ramię, a potem piersi. Patrzyła jak on wymyka się z konferencji. Potyka się gubiąc wierność lub słowo.

Miłość jest małą nienawiścią, mówił.

Pobiegła przez łąkę. Ramiona i nogi stukały w plecaku. Z otwartą buzią skakała przez groble. Pachniało konwaliami zasadzonymi pod płotem starego domu. Opadły mgły, gdy opadła z sił. W starym wąwozie nie było deszczu. Nanizła na nitkę nogi i ramiona.

Potrzebą miłości jest współlistnienie, łkała.

Gdy spacerowała po uroczysku, powychodziły nocne mary. Paprocie uginały się pod ciężarem rosy. Niezapominajki ścisnęły płatki. Zasnęła w lisiej norze. A rankiem znów pędziła przez las z otwartymi ustami. Pod powiekami przysychał mężczyzna. Nie była nikogo moją, a swoję spinała agrafką. Zaplatała palce, jak dziewczynki warkocze, by od niego usłyszeć czułe słowa. Skakała jak tresowana małpka, gdy odbywał na niej ćwiczenia z intymności.

Miłości nie podrzucamy jak kukułcze jajo. Uczucia są naszą własnością, mówiła.

Nie była martwa, gdy skoczyła głową w dół. Do ramion przywiązała stopy. W rozwartych ustach przykucnęły pszczoły ze świetlikami błyszczącymi po zachodzie słońca.

Jestem latarnią, żaliła się.

Obudziła się wraz z pierwszymi kroplami rosy, które skapywały na brodę. Podciągnęła rajstopy i dała susa do pobliskiego strumienia. W jego taflī zobaczyła siebie i połknęła rybę.

„Miłość nie jest pojęciem, wyobrażeniem, ideą, ani też skutkiem obcowania z kimś. Miłość nie jest czymś, czego by można używać jako ucieczki od siebie, od własnej

---

małości i nędzy; a gdy to czynimy stwarzamy nierozwiązalne zagadnienia, matnie, tragedie. Miłość nie jest abstrakcją; ale poznać jej rzeczywistość można tylko wtedy, gdy pojęcia, wyobrażenia, idee i sam intelekt przestaną w nas być dominujące”, myślała Zoe.<sup>1</sup>

Od tej chwili nie czuła osamotnienia. Ryba wypełniała każdy skrawek jej ciała. Pływała w tętnicach. Biła płetwami o żebra. Ocierała o duszę. Gdy pragnęła mężczyzny, podpływała do jej gardła i tkwiła ością w przełyku. Przestała być kobietą.

Wcale nie musiało tak być. Gdy spotkali się, wypuściła z ust nagromadzone światliki. Błyszczała przez następne lata, aż weszła w nią zazdrość. Od tej chwili zapragnęła go tylko dla siebie. Chciała włożyć mężczyznę do melonika i wyciągać za uszy jak zającą. Mogłaby go karmić przez słomkę, albo wystawiać na deszcz.

Gdy poczułam zazdrość przestałam kochać, żaliła się.

A potem za jego plecami urodziła sobie nadzieję. Rankiem przywarła do jego dłoni jak kot albo mucha. Zlizwała z nich pot i cukier. Klasnęła powiekami, gdy zbierał ubrania, aż w końcu ścierał z siebie jej oddechy. Pozostała w czterech ścianach, gdy wydrapał ją ze swej skóry.

Gdy ryba zagnieżdżyła się w sercu, ona poczuła zimno. Zakasała wysoko rękawy i pociągnęła sumę za wąsy. W dzieciństwie niania biła ją po głowie. Od tego dostaje się kaszlu serca, po którym długo leży się w szpitalu. Wtedy Zoe malowała nogami obrazy. Dzieci z oczami jak pety wyskakiwały z szafek, kręciły hula-hop.

Rozrosła się wszcz. Albo jak ciasto na chleb, które ojciec postawił w garnku na stole. Urosły z niego brzuchy kobiet. Matka oddała ciało do domu dziecka. Uprasowała sukienkę komunijną, a potem zbudowała dom na łonie natury.

Któregoś dnia cię ukradnę.

Sum popłynął z serca do żołądka, zwinął się w kłęb. Pozostawił po sobie nieświeży oddech i parę z ust.

Ryby nie mają uśmiechu.

---

1 Jiddu Krishnamurti „Uwagi o życiu” z rozdziału: „Osamotnienie”, tłumaczyła Wanda Dynowska.



**PROTOKÓŁ**  
**XXIX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marka Hłaski**

**Konkurs objęty honorowym patronatem:**

Prezydenta Miasta Chorzów,  
Marszałka Województwa Śląskiego.

**Patronat promocyjny/medialny objęli:**

Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach – Redakcja Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk”, Wydawnictwo „ISKRY”,  
portal “chorzowianin.pl”.

Jury w składzie:

**1. Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak** – poetka, adiunkt w Katedrze Projektowania i Analizy Komunikacji (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach). Autorka tomików (m.in. „*Szklivo*”, „*Jak umierają małe dziewczynki*”, „*Ciemność resort spa*”) oraz książek: „*Kto się boi Marii K.? Sztuka i wykluczenie*” i „*Obce. Reaktywacja – szkice*”.

**2. Marian Kisiel** – profesor w Instytucie Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego, krytyk, poeta, tłumacz z języka rosyjskiego. Członek Polskiego PEN Clubu, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Opublikował kilkanaście książek o polskiej literaturze XX wieku, ostatnio wydał zbiór „*Splot. Szkice o poezji polskiej, rosyjskiej i żydowskiej*” (2021).

**3. Igor Jarek** – autor dwóch tomików poetyckich: „*Różyczka*” wyd. Stowarzyszenie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Łodzi, 2008; „*Białaczka*” wyd. Convivo, 2016. Wspólnie z żoną Judytą Sosną autor trzech komiksów: „*Słowackiego*” wyd. Kultura Gniewu, 2016; „*Spodouści*” wyd. Kultura Gniewu, 2018; „*Czarna Studnia*” wyd. Kultura Gniewu, 2019. Za zbiór opowiadań „*Halny*” nominowany do Paszportów Polityki i do stypendium Stanisława Barańczaka. Odkrycie Empiku 2020.

Po zapoznaniu się z **617 zestawami prac** (306 zestawów poetyckich, 311 utworów prozatorskich) i posiedzeniu (online) w dniu 21 maja 2021 roku, postanowiło przyznać następujące nagrody:

---

## POEZJA:

**I miejsce** – Agata Miszczak za zestaw wierszy, godło *ambre* – nagroda - 600 zł;

**II miejsce** – Danuta Hein za zestaw wierszy, godło *Buńczuczna filiżanka* – nagrody - 500 zł;

**III miejsce** – Klaudia Mazur za zestaw wierszy, godło *Niebieska* – nagroda - 400 zł.

## PROZA:

**I miejsce** – Daniel Tamkun za opowiadanie „*Bunt*”, godło *Siostra Irena* – nagroda 600 zł;

**II miejsce** – Sebastian Suliborski za opowiadanie „*Dla Babci*”, godło *Palach* – nagroda 500 zł;

**III miejsce** – Tomasz Józef Bajerowski za opowiadanie „*II*”, godło *sochocki* – nagroda 400 zł.

## Wyróżnienie:

**Aneta Zuarik** – za opowiadanie „*Ukradnę sobie szczęście*”, godło *Lisbona* 200 zł

Jurorzy podkreślili wysoki poziom nadesłanych prac, a ponieważ nie będzie możliwości organizacji uroczystego podsumowania konkursu, zgodzili się na udostępnienie laureatom mailowych adresów kontaktowych. W ten niedoskonały sposób będzie możliwość wymiany spostrzeżeń, uwag dotyczących nagrodzonych tekstów i twórczości literackiej w ogóle.



Młodziowy Dom Kultury  
w Chorzowie

Chorzów 2021